

## Laureatka Powiatowego Konkursu Literackiego

### „Moje pandemiczne życie. Piszemy historię dla przyszłych pokoleń”

przeprowadzonego przez Miejską i Powiatową Bibliotekę Publiczną w Nowym Tomysłu  
(styczeń – czerwiec 2021 roku)

**Maria Madleńska** - rodowita nowotomyślanka, w potocznych kategoriach myślowych już niemłoda. A tak między nami - piąty krzyżyk. Czuje się nadal na 25 lat. Absolwentka polonistyki. Liznęła trochę angielskiego. Ma wrodzoną, a może i częściowo nabytą skłonność do fikcji literackiej - tworzy historie na poły wydumane, na poły prawdziwe. Raczej do szuflady. Szuflada jest coraz większa i puchnie.

Uzależniona od czytania, zwłaszcza powieści, ale także opowiadań. Lista autorów lubianych praktycznie bez końca. Obecnie na czele ulubieńców znajduje się Truman Capote (opowiadania, "Z zimną krwią"). Tuż za nim Flaubert, Bułhakow (genialne "Notatki na mankietach" i flagowa powieść "Mistrz i Małgorzata")

**Nagroda główna w kategorii: opowiadanie:**

### **DOMY Z BETONU**

Motto: „Pamięć leczy i zniewala” („Memory is a doctor and a master”). Truman Capote

1.

- To co, bara bara? – mój głos brzmi dziwnie obco, jakby płynął z cudzych ust.

Nie w pełni wierzę, iż moje lekko zeszywniałe policzki współpracują z równie zdrętwiałym językiem w artykułowaniu tego pytania. W lewej dłoni trzymam przyjemnie chłodną szklanę z kostkami lodu pływającymi na powierzchni whisky Ballantine's z plasterkiem cytryny. Szukam przez moment miniaturowego „Titanica”. Nie widzę, ale może nadpłynąć w każdej chwili. Na przykład po kolejnym łyku. Mimo leciutkiego działania alkoholu, rozluźniającego tu i ówdzie moje ciało oraz duszę, wciąż jestem stremowana.

Sztywność karku przypomina mi o chitynowym pancerzu owada – mojej zbroi. Gładzę Tomka po jego falistych, brązowoszarych włosach pachnących brylantyną i drzewem sandałowym z zamorskich krain. Są gęste, miękkie, przyjemne w dotyku. Siedzimy przy zaimprovizowanym biurku lakierowanym na biało. Tak naprawdę to okrągły stół, odziedziczony przez Tomka po babci. Wertujemy z szelestem zabazgranych uwagami stronic komentarze do apokryficznej Ewangelii Tomasza, już niemal wpadamy w mistyczny nastrój. Słucham Tomkowego monologu, który jest przerywany małymi łyчками whisky bez lodu i cytryny. Udaję, że słucham.

Za szeroko otwartym na plac zabaw – wyludniony, bez dzieci i rodziców, bez ciągłej paplaniny - oknem śpiewa kos. Ten ptak ma dziwny zwyczaj: codziennie około dwudziestej siada na krawędzi sąsiedniego bloku, spoglądając na pandemiczny świat swą przekrzywioną

ciekawsko główką z wysokości czwartego piętra. Gdyby potrafił malować, pewnie namalowałby obraz. Ludzki drobiazg kręcący się tu i ówdzie pośród domów z betonu. Kos wyśpiewuje miłosne trele na ćwierć osiedla. Jakby nic się nie zmieniło. Jakby to była normalna wiosna.

Tomek zdejmuje okulary. Odkłada je, z lekka pedantycznie, na biurko - obok opastego tomiska. Teraz jeszcze bardziej przypomina mi Johnny'ego Deppa. Sama nie wiem – poprzez ten gest, okulary jak u Corso w „Dziewiątych wrotach”, czy spojrzenie ciepłobrazowych oczu.

- Tak mówisz, Joasiu? – pyta.

Przystojni mężczyźni są interesujący. Nawet ci nieco pedantyczni. Mężczyźni z poczuciem humoru są jeszcze atrakcyjniejsi. A gdy ktoś łączy w sobie oba te przymioty, staje się niezwykły.

Słyszę głosy z klatki schodowej. Mama z córką. Liczą schody wędrując na kolejne piętro. „Siedem, osiem ...”. Wczoraj zmarła sąsiadka. Starsza, siwowłosa pani. Nie zdążyłam jej bliżej poznać.

Tomek przysuwa się jeszcze bliżej. Prawą dłońią dotyka mego kolana, a później jego szczupłe palce wędrują dalej, wzdłuż uda. Jest ciepło, nie mam rajstop. Lewą dłońią chwytając pilota, uruchamia wieżę stereo. Sinatra zagłusza śpiew kosa. „The Girl From Ipanema”, piosenka nagrana w 1967 roku, bierze nas w objęcia. „Oh, but he watches so sadly ... How can he tell her he loves her ...”

Siadam na jego udach, profilem do niego. Mam na sobie tylko cienką sukienkę i majtki.

Tomek gładzi moje nogi, przesuwa swą ciepłą dłoń o palcach pianisty coraz odważniej, poza granicę sukienki. Będę musiała mu pomóc. Na moment podnoszę się z jego ud i posuwistym ruchem ramion zsuwam majtki. Spadają na parkiet niczym niepotrzebna „skóra” patyczaka w trakcie wylinki.

## 2.

Budzi mnie smuga słonecznego światła. Reflektor słońca pada mi wprost na twarz przez okno z niezasuniętą żaluzją. Pandemiczny maj zaczyna się nawet przyjemnie. Aura jest odporna na wirusa. Piątek, pierwszy maja, wstęp do długiego weekendu. Pogoda zachęca do wyjścia z domu. Ale za drzwiami czai się zło. Wirus może fruwać w powietrznym aerozolu. Albo czaić się na kłamce lub przyklejony gdziekolwiek, gdzie nieopatrznie przesunę dłońią. A później już z łatwością znajdzie drogę do mojego organizmu. Może oznaczać dla mnie ciężką chorobę, zakończoną śmiercią pod respiratorem. Pocę się na samą myśl. Wstrzymuję oddech ze strachu. Teraz i na zawsze. Zwłaszcza gdy jestem w sklepie. W pobliskim Tesco przy rondzie słyszę: „Dwa metry ode mnie!” To wrzeszczy jakaś spanikowana paniusia koło pięćdziesiątki, z włosami farbowanymi na nieokreśloną żółć, takie pożał się Boże bahama

yellow, pokazując mi ręką, gdzie powinnam stać z koszykiem. Mówi do mnie jak do psa. Ale i ja postrzegam sklep jako locus horribilis – straszne miejsce, w którym codziennie ryzykuję zdrowie lub życie. A jeszcze niedawno sklepy i wszelkiej maści galerie handlowe były ogrodami zakupowych rozkoszy.

Budzę się więc niemal jak Gregor Samsa z Kafkowej „Przemiany” – przekształcona w ogromnego chrabąszcza majowego, który wydostał się właśnie spod przyjaznego dla pędraka gruntu, by spróbować swoich sił w nadziemnym świecie. Czy zdobędzie się na odwagę lotu? Czy uświadomi sobie, że pod martwą chityną pancerza ma ukryte skrzydła? Czy polecą ponad koronami drzew - odurzony zielenią, tysiącami wiosennych barw i zapachów, słońcem maja?

Wstaję z łóżka i spaceruję, w lekkim osłupieniu, po opustoszałym mieszkaniu. Moje owadzie odnóża sprawują się całkiem przyzwoicie. Zatrzymuję się przed lustrem. Wciąż jeszcze widzę moją ludzką twarz i sylwetkę drobnej trzydziestojednolatki o długich włosach niekreślonej, myszowatej barwy; dziś jakby ciemnoszarej, z rozjaśnionym w słońcu pasmami. Więc może nie do końca jestem chrabąszczem? Ale na plecach czuję stwardniałe pokrywy pancerza podzielonego pośrodku, wzdłuż linii kręgosłupa. Czy jeszcze mam kręgosłup? Czy wciąż zaliczam się do vertebrates, czy już do insects?

Kiedy jest mi źle, słucham Sinnead O'Connor. Nothing compares. Szara bryła budynku obwiedziona szaleństwem zieleni; liście widziane z daleka, z przystanku kolejowego Poznań Junikowo, niczym baśniowa mgielka świata bezpowrotnie utraconego. Nikt nie całował tak jak ty. Ta baśń tak niedaleko. Godzina jazdy pociągiem. Wspomnienia zrywają ze mnie chitynową zbroję. Trzypokojowe mieszkanie na osiedlu Północ jest wyludnione, bo Hirek przebywa nie wiadomo gdzie - podobno pojechał „gdzieś w Polskę” po auto na sprzedaż, dla klienta. A Maciek i Panama są u mojej mamy. Z wolna dociera do mnie, że mam tę majówkę tylko dla siebie. Trzy dni wycięte z kieratu codzienności, trochę oddechu pełną piersią. Piję gorącą kawę, łykam owsiankę z mlekiem i miodem. Sięgam po moje weekendowe lektury. Szelest stronic i zapach książek działają uspokajająco.

Od marca miewam znów nawroty owadziej egzystencji. Podświadomie staram się być niezauważalna, niewidoczna – zwłaszcza poza mieszkaniem, szczególnie w sklepach i ludzkich skupiskach. Jak maleńki chrabąszczyk. Żeby nikt ze mną nie rozmawiał, żeby nikt się do mnie nie zbliżał, nie chuchał, nie dmuchał, nie kaszłał, nie chrząkał i - broń Boże - nie dotykał. Bo wirus jest wszędzie. Bezlitośnie wyłowi mnie z tłumy. Taką drobną, słabą kobietkę z długimi włosami bliżej nieokreślonej barwy, z „urodziwą twarzą” - jak powiada mój tato. Ale „urodziwa” nic nie znaczy. Moje pięknie skrojone usta, ciemnobłękitne oczy, zgrabna sylwetka – to wszystko może zginąć, rozpaść się w pył z ostatnim wydartym przez płuca oddechem ...

Spoglądam na moje filodendrony. Z oszklonej szafy stojącej tuż przy oknie uśmiechają się do mnie Melanochrysum, Verrucosum, Burle Marx – kolekcja ulubieńców. Painted Lady

ustawiłam osobno. Jest trochę samotna ta malowana dama. Jak jej właścicielka. Ale niedaleko od niej wygrzewają się w słońcu Prince of Orange oraz banalnie prosty w uprawie Imperial Red. Kocham filki – niewymagające, skromne, odporne na przeciwności, piękne. Taki Prince – przypomina mi kameleona. Jak on potrafi zmieniać barwy, delikatne odcienie zieleni... Jest nieprzewidywalnym maverickiem, malarzem z bogatą paletą.

Trzy książki obecnie przeze mnie czytane układają się w moim umyśle w barwną mozaikę. Biografia Johna Huntera („Chirurg”) przywołuje niewesołe skojarzenia z epidemią, ze słabością ludzkiego organizmu. Uspokajające ćwiczenia oddechowe z książki Shetty’ego odkładam na później. Najbardziej szokuje mnie tekst Christophera Wyliego. Katalogowanie ludzi, budowanie bazy danych ułatwiającej wpływanie na wyborcze głosy i niszczenie w ten sposób istoty demokracji; tzw. społeczeństwo in silico, jak gra The Sims. I to zdanie: „Wyjście z szafy polega na odrzuceniu definicji nakładanych na nas przez innych”. Czy powinnam wciąż oglądać się wstecz, zamiast żyć zgodnie z antycznym hasłem carpe diem, choć „wisi nad nami groźba powstania społeczeństwa owładniętego obsesją pamięci”? Media społecznościowe pamiętają „stąd do wieczności”. A ja tego nie chcę, podobnie jak nie zamierzam być nieistotnym żuczkiem w ogromnej maszynie oddziaływania na społeczne decyzje. Gdy każdą szparą sączą się straszne informacje o pandemii, tracę oddech. Odruchowo wstrzymuję oddychanie, gdy ktoś stoi zbyt blisko. Zastanawiam się, co dotknęłam i czy dobrze umyłam dłonie, by uniknąć zakażenia. Co ostatnio dotknęłam i czy mógł tam być wirus? Najbardziej boję się sklepów. Tam moja skóra jest zupełnie chitynowa. Przekształcam się w żuka, który chce przetrwać za wszelką cenę, być – najlepiej – niewidocznym, z nikim nie rozmawiać, unikać tłoku. Bezwolny chrabąszcz wsłuchany w złe wieści i pragnący jedynie przetrwać.

Przez całe życie byłam takim dziwacznym chrabąszczem majowym czy – dokładniej - żukiem gnojarem z Kafkowej „Przemiany”. Zresztą Gregor Samsa zupełnie przypomina w swej bezwolnej uległości Józefa K. z „Procesu”. Wolę chrabąszcza, bo posiada skrzydła.

W połowie studiów poznałam Krzyśka... Poznałam ciebie, studenta historii. Wysokiego bruneta, pasjonata taekwondo. Zakochałam się. Poznań płonął wiosennym słońcem. Żłota farba wszędzie, na niebie i ziemi. Najczęściej na niebie. Odwiedzałeś mnie na długich korytarzach wydziału anglistyki; wieczorami przyjeżdżałeś tramwajem do mnie na stację – szara plama jednopiętrowej willi, późną wiosną i latem obramowana bujną zielenią. Na wprost kościoła. Spacerowaliśmy po wielkim ogrodzie, całowaliśmy się wśród róż, wdychając gęsty zapach żółtych i karminowych kwiatów. Późnym latem w tym ogrodzie na Junikowie koncertowały świerszcze, wczesną jesienią dojrzewały winogrona. Rozkwitała nasza miłość. Zostawałeś na noc. Gospodyni przymykała oko. Uwielbialiśmy wtedy piosenkę Papkina: „Córuś moja, dziecię moje...”. Mówiłam do ciebie „kotku”, ty do mnie „myszko”. To uczucie przetrwało dwa lata. Rodzice nigdy nie zaakceptowali mojego wyboru. Z tytułem magistra odleciałam na drugi koniec Polski. Chrabąszcz odkrył, że ma skrzydła.

Czasami, gdy jest mi źle, przypominam sobie tamten szary dom na Junikowie, przy ulicy Miśnieńskiej. W gorące dni czerwca nad głowami buczały nam chrząszcze i pszczoły.

Szara bryła budynku rozmywała się w strugach letniego żaru. Nie mogłam pojąć zawichości trybu warunkowego. Uczyłeś się ze mną. Celowo muskałam cię udem lub pochylałam się nad podręcznikiem tak, byś mógł oglądać mój biust wysuwający się z rozpiętej bluzki. Wolałam dotyk twego ciała od nudnej gramatyki, wiedziałeś o tym. Udało ci się jednak wytrwać bardzo długo. Dzięki temu zdałam to cholerne kolokwium. Poprawkowe. Czasami, ale tylko czasami, chciałam znów cię zobaczyć. Bez ciebie boję się. Jestem owadem wędrującym cudzymi ścieżkami. Usłyszeć chociaż twój głos. Gdzie teraz jesteś?

W Śniegowicach spotkałam Hirka. Przysiadł się w maleńkiej restauracji Siempre Delicious Home. Rozpoczął sztubackim tekstem. Udawałam, że mnie to bawi. Postawny, z okazałą klatką (jak mówił – dudami). Długie, jasne włosy wiązał w kucyk. Mechanik samochodowy. Syn pierworodny, hołubiony przez rodziców. Trzy siostry były tłem dla bohatera. Stąpał twardo po ziemi. Kasa, praca, rodzina. Pachniał benzyną i tanim dezodorantem. Wówczas myślałam, że przy nim zrzucę chitynowy pancerzyk i będę sobą. Wróciliśmy do mojego miasteczka. Kupiliśmy mieszkanie, urodziłam Maćka – moje jasnowłose słoneczko. Hieronim marzył o polowaniach. Kupił sobie strzelbę, zamierzał hodować trzy dogi argentyńskie. Ledwo udało mi się go przekonać, by z tymi psami zaczekał. Za to pojawiła się w domu urocza Panama – biszkoptowy golden retriever, przyjaciel rodziny.

Chciałam być bliżej rodziców, którzy mogliby czasami zająć się wnukiem. Na krótko złożyłam skrzydła, stając się bezradnym, przerażonym chrabąszczem schwytanym w listowiu przez łobuzów. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam w supermarkecie małżeństwo w maskach i rękawicach, było to jeszcze przed nakazem zasłaniania ust i nosa, ta para skojarzyła mi się z dziwnymi owadami. Przerażenie znów chwytało mnie za gardło stalowymi kleszczami. Mój najgorszy, owadzi, chitynowy lęk. Podobnie później, gdy zobaczyłam ratowników medycznych w antywirusowych skafandrach. To samo skojarzenie i ten sam lęk przed ni to kosmonautami, ni to chrabąszczami.

Zdalne nauczanie angielskiego w podstawówce nawet mi teraz odpowiada. Mogę zająć się synkiem. Koleżanki - nauczycielki są strasznie nudne. Prawie ich nie znam. Nie chcę poznać. Dzwonią moje przyjaciółki. Jakby się umówiły, u licha. Ola podciera tyłki niemieckim alzheimerom. Wróciła do Polski jeszcze przed zamknięciem granic, a teraz boi się wyjechać, żeby przypadkiem nie odbywać kwarantanny u nas lub za granicą. Kasia, zasiedziała w tak zwanym staropanieństwie, zaprasza do siebie. Taktownie odmawiam. Jej puste mieszkanie, sucha Sparmania Africana i pięć kotów... Nie dziś. Aneta właśnie bierze rozwód. Zaszła już w ciążę ze swym obecnym partnerem, choć nie zakończyła, to tylko formalność, udanego małżeństwa. Dziękuję, innym razem zapoznam się z całym bogactwem newsów dotyczących jej arcyciekawego życia.

Po raz pierwszy zwróciłam na niego uwagę, gdy wracał do naszego miasteczka pociągiem. Oczywiście, widywałam go wcześniej na klatce schodowej, czy przed blokiem, ale zwrócenie na kogoś uwagi to dla mnie jakiś obraz z tym kimś związany, który pozostaje w pamięci. Był słoneczny dzień wiosny roku 2019, jeszcze przed epidemią. Czasy pozbawione

tej namolnej obawy, że znajdziemy się zbyt blisko kogoś zarażonego lub dotkniemy jakiejś zawirusowanej płaszczyzny. Uwielbiam przyglądać się pasażerom wracającym z pracy późnopołudniowymi pociągami. Te składy łomoczące na szynach rytmem ukojenia rozśpiewanych radością wagonów są jak okręt wiozący Odyseusza wreszcie wprost na Itakę.

Siedział przy oknie, zaczytany i zupełnie nieobecny. Co czytał? Zawsze z ciekawości staram się rzucić okiem na okładkę. Mój tato miał kilka tysięcy książek na regałach, zaraził mnie tą ciekawością cudzego czytelnictwa. To była powieść „Washington Black”. Czytał niczym mieszkaniac odległego świata, chwilowo tylko, w drodze wyjątku i na pięć minut, zabłąkany w krainę zwykłej, ludzkiej rzeczywistości szarych zjadaczy chleba. Usiadłam po przeciwnej stronie bezprzedziałowego wagonu pesy. Spodobały mi się jego dłonie. Nieco żyłaste, ale o smukłych palcach. „Siłacz o duszy pianisty” – pomyślałam.

Zasięgnęłam wówczas informacji wśród moich znajomych. Tomek był kawalerem o sześć lat starszym ode mnie. Widywano go w kawiarni na deptaku. Rzadko dwukrotnie w towarzystwie tej samej kobiety. Pracował w poznańskiej księgarni – antykwariacie, która jeszcze jako tako funkcjonowała na rynku. Aż za Wartą, gdzieś na tak zwanym drugim końcu miasta. Tam kończyły swój codzienny szlak, wędrując karawanami od świtu pełnego obietnic po umęczony zmierzch, tramwaje, zawijając do zajezdni niczym do portów. Prowadził też własny antykwariacik internetowy. Jego firma księgarska nazywała się Książę Wśród Książek. Specjalizował się w ezoteryce oraz wszelkiej maści duchowości, czy aspektach religioznawstwa. Podobno jego mieszkanie, dokładnie nad moim i Hirka, było zagracone stertami tomisk pachnących farbą drukarską.

Którejś grudniowej nocy w roku 2019, krótko po naszej ostatecznej przeprowadzce - bo jakoś tak stale „się składało”, że nie mogliśmy zamieszkać w wymarzonym własnym M - do nabytego lokalu, gdy Hirek gdzieś się błąkał poza domem, słuchałam odgłosów dobiegających z mieszkania Tomka – jakieś śmiechy, rozmowy. Długo nie mogłam zasnąć, przewracając się z boku na bok. Myślałam o rozwodzie, o bezsensie mojego związku z mężczyzną, który najprawdopodobniej stale miewa tak zwane skoki w bok. Nie szukałam już dowodów zdrad. Pogodziłam się ze swoim losem. Czy kiedykolwiek kochałam Hieronima? Czy tylko nie chciałam być bezwolnym chrabąszczem, zależnym od woli i opinii moich rodziców, tudzież całego świata? Nie znosiłam czuć, jak twardnieje mi skóra, jak skrzydła składają się pod ciężkimi pokrywami przypominającymi blachę bagażnika. Owad był niezdolny do decydowania o sobie. Jak Gregor Samsa, jak Józef K.

I wtedy coś przedarło się poprzez świst wiatru grającego gdzieś na balkonowej balustradzie; a może w kanałach wentylacyjnych. Początkowo nie wierzyłam własnym uszom. Do świąt został tydzień. To była piątkowa noc, koło dwudziestej trzeciej. Seksualne jęki jakiejś kobiety były głośne i jednoznaczne. W sumie - dlaczego nie miałyby jęczeć na tydzień przed świątami? To tylko ja byłam samotną mężatką pilnującą psa, czteroletniego syna i niszczonego związku. Nie, praktycznie już nieistniejącego małżeństwa. Tak postawmy sprawę. Bo udawanie, iż coś istnieje, czyniło ze mnie na powrót chrabąszcza.

Owada chroniącego swe „ja” pod grubymi skorupami nieprawdy. I wierzącego naiwnie, że to wycofanie się w bezpieczne zakamarki psychiki przed czymkolwiek go ochroni.

Serie jęków powtarzały się co kilkanaście minut. Po pewnym czasie ta częstotliwość zmalała. We mnie wzrastała zazdrość, która walczyła z poczuciem przyzwoitości i wiernością; przywiązaniem do mężczyzny, który podobno mnie kochał i który de facto miał być moim alibi wobec życia. Owadziego życia, losu insekta - niosącego w sobie ryzyko, zagrożenie, niebezpieczeństwo. Wydawało mi się, że zło czyha na zewnątrz. Ale chyba to, co najgorsze, tkwiło we mnie. W moim umyśle kiełkował bunt. Na razie ledwie dostrzegalny. Yin przechodziło w swe przeciwieństwo. Moja kobiecość otwierała szeroko ramiona. Prawie jak skrzydła – silne i gotowe do lotu. Yan zawierało w sobie obietnicę rozkoszy, wilgoć napływającą do lędźwi, znów eksplodującą orgazmicznym jękiem... Jakże mi tego brakowało. Zdążyłam już zapomnieć o miłości – wszechogarniającym uczuciu, które unieśmiertelnia nawet przestraszonego chrabąszcza.

Para z sąsiedniego mieszkania zapewne zasnęła. Zmęczeni karesami. Cisza wypełniła ponownie grudniową noc. Nie licząc świszczącego uparcie wiatru, który nie miał uczuć. Ba, nie miał nawet osobowości. Mógł za to zajrzeć przez okno do mieszkania Tomka. Jeszcze długo nie mogłam zasnąć. Liczyłam barany. Analizowałam moją sytuację. Rozpamiętywałam wszystkie zdarzenia ostatnich miesięcy. Hirek wrócił nad ranem. Nie zadałam mu żadnego pytania. Nie miał nic do powiedzenia.

Ostatni dzień marca 2020 roku był deszczowy. Okoliczne trawniki rozmiękły ciepłem kałuż. Jasnobrązowa glina wypęzła na chodniki, rozdeptywana setkami podeszew. Następnego dnia, prima aprilis, przynosił na przemian deszcz i smugi słonecznych promieni. Jakby się wahał, nie mogąc podjąć decyzji. Wkrótce później trzeba już było nosić maseczki. Wracałam właśnie z popołudniowego spaceru z Maćkiem. Zaczynał się deszcz. Wyjęłam parasol, by uchronić siebie i syna przed chłodnymi kroplami. Wyprzedzili nas sąsiedzi z mieszkania poniżej, z parteru. Małżeństwo z dwiema córkami, Anią i Agnieszką. Towarzyszył im ich psiak, husky. Tomek palił papierosa stojąc obok ławki.

- Panie Tomku, proszę biec do domu, bo pan zmoknie! – nie dowierzałam własnej śmiałości.

Spojrzał na mnie oczyma wyrażającymi zdumienie. Nie odpowiedział. Ale już wieczorem otrzymałam zaproszenie na Facebooku. Odnalazł mnie. Zaczęliśmy pogawędkę. Początkowo nieśmiało, zdawkowe. Później było coraz łatwiej.

### 3.

Pościel jest ciepła; pachnie leciutko naszym potem. Leżymy nadzy, wtuleni w siebie. Czuję na policzku szorstki zarost Tomka. Nie mam już chrabąszczowych powłok. Moja skóra

jest cienka, delikatna, wilgotna. Owad zakończył swój lot godowy. Teraz istota ludzka, ja w całej pełni mojej mości, odnalazła miłość i ukojenie. Spełnienie pośrodku majowej nocy.

- Słuchaj – szepczę.

- Tak...? – Tomek mruga oczyma, jakby koniecznie potrzebował okularów do myślenia, nie tylko do czytania.

- Bo...

Jakiś wczesnomajowy słowik śpiewa za oknem. Zrobiło się lirycznie. I cielesnie.

- W czym rzecz? What's the matter? – mój uroczy sąsiad próbuje wejść w rolę anglisty.

- Znasz „Przemianę”?

- „I Cing”? Oczywiście.

- Nie chińską „Księgę Przemian”, głupolu, tylko opowiadanie Kafki.

- Kawka na trawkę? Znam. Bo co?

- A czy czułeś się kiedyś takim żukiem, owadem... Jak ten Samsa u Kafki?

- Jakiego znów samca? Poważnie mówiąc, to zawsze tak się czuję w pobliskiej piekarni, gdy rano kupuję pół chleba i drożdżówkę z makiem. Jak brzydki owad, który ujrzał precudną ekspedientkę. Rusałkę z buzią zaróżowioną ciepłem pomieszczenia oraz... Chciałbym wówczas przestać być brzydkim owadem, przepoczwarzyć się w księcia z bajki i oświadczyć się jej natychmiast.

Sztywniej słysząc te słowa. Co on sobie wyobraża?

- No ty obrzydliwco! – krzyczę mu do ucha. – Zabraniam ci się zbliżać do ekspedientek!

- Żartowałem, kochanie. Tylko czasami żeruję w tej piekarni.

Znalazłam kolejny powód, by jeszcze raz rozhuścić miłosny dzwon. Całuję go w usta i oddaję się wzajemnym pieszczotom. Nie słucham już pieśni słowika. Słyszę własny oddech. Własne jęki rozkoszy. Jak dobrze, że nikt tego nie słucha piętro niżej, w moim pustym mieszkaniu.

O świcie, koło piątej rano, wracam do swojego lokum. Lekki chłód na klatce schodowej przypomina mi, że niewiele spałam. I te amarylisy pachnące na cały korytarz. Jeszcze czuję zapach tych kwiatów, więc nie zostałam zainfekowana. Że też akurat o tym myślę. Może zakaziłam się jakimś uczuciem? No tak, nie miałam maseczki.



Zaparzyłam sobie kawę. Delikatna mgiełka unosi się ponad czarnym, gorącym napojem. Siedzę przy kuchennym stole. Chłodzę bosc stopy na posadzce. Bezmyślnie przesuwam prawą nogę w bok. To już nie jest owadzie odnóże. Z przyjemnością wczuwam się w ten chłód i szorstkość podłogi. Na chwilę się zdrzemnę. Za oknami ptaki oznajmują początek dnia. Smugi nieśmiałego słońca wpadają do mieszkania. Hitek nie znosi tej porannej jasności. Mawia, że to go wybija z rytmu, nie daje rano wypocząć. I te wrzeszczące zięby! Kto to wymyślił?! Trochę pierza i sygnał alarmowy na full!

Spoglądam na oszkloną szafę z moim roślinnym szaleństwem. Filodendrony rosną sobie spokojnie dalej, jakby nie zauważyły mojej nieobecności. „Lecz pamiętaj naprawdę nie dzieje się nic i nie stanie się nic aż do końca”. Chciałabym mieć Burle Marxa Variegated. Tak, warto zapamiętać tę zachciankę. Powoli sączę kawę. Odstawiam lśniącą kawiarkę do umycia. Nie teraz. Na później. Teraz spać. Choćby godzinka snu. Wciąż czuję na skórze dotyk dłoni Tomka. Jego gorączkowe pocałunki.

Dobiegają mnie dźwięki piosenki, która leci na pełen regulator z trypokojowego mieszkania, pełnego książek na sprzedaż, piętro wyżej. Martyna Jakubowicz śpiewa: „W domach z betonu nie ma wolnej miłości ...” Wracają wspomnienia.

Słuchaliśmy „Mandinka” Sinnead O’Connor. A później, już tylko dla mnie, śpiewała „Nothing compares...”. Chcę, by wspomnienia zawsze mi pomagały zrzucać owadzi pancerz. Wówczas przestaję się bać. Gdzie teraz jesteś? „I put a spell on you... Because you’re mine!” Czyżbym miała potraktować te „Domy z betonu” jako zaproszenie księcia wśród książek na swoisty weekendowy afterek? Najpierw wsiądę w forda i odwiedzę syna. Maciek pewnie się stęsknił. Panama radośnie zaszczeka. „To ford”, the present infinitive, czyli „przechodzić rzekę w bród”. Pamiętam jeszcze ze studiów.

A później pewnie znów poszukam wolnej miłości. Tym razem będzie mi już łatwiej. Żeby poczuć się kobietą, nie kafkowskim owadem. Kiedyś ta chwila będzie wspomnieniem. Pomoże mi przetrwać. W końcu, jak mówiła w wyświechtanym cytacie z „Gone with the Wind” Scarlett O’Hara: „After all, tomorrow is another day!” I Tomek, słuchający piosenek Martynej Jakubowicz. Zwłaszcza tej jednej... Casanova czy samiec beta? Ale czyżbym naprawdę musiała rozstrzygać teraz tak sofistyczne kwestie?